

Tybet: tam, gdzie nigdy nie byłem – 1

28 kwietnia 2009

To jeden z najdziwniejszych ruchów wyzwolenczych świata. Jego bojownicy walczą o kraj, którego nigdy nie widzieli. Rząd Chin nazywa ich „wielkim zagrożeniem”, choć nie mają broni.

To młodzi Tybetańczycy. Ich rodzice uciekli z Tybetu przed prześladowaniami, oni sami urodzili się w Indiach. Od zawsze żyją w zawieszeniu: między wspomnieniami rodziców, naukami buddyzmu i najnowszymi modelami telefonów komórkowych. Pytają: co dalej? I coraz rzadziej akceptują odpowiedzi Dalajlamy na to pytanie.

* * *

Najsławniejsze zdjęcie z najbardziej śmiałej akcji antychińskiej w Indiach jest zupełnie zwyczajne. Niepozorny, chudy chłopak w jasnych dżinsach szarpie się z indyjskimi policjantami na rusztowaniu. Na wysokości 14. piętra. To Tenzin Tsundue. Postać jest mała, u jej stóp łopoczą trzy zszyte razem czerwone flagi chińskie z napisem „Free Tibet”. Rusztowanie stoi w centrum Bombaju, przy luksusowym hotelu Oberoi. Najważniejsze dzieje się poza kadrem: tam ówczesny premier Chin Zhu Rongji patrzy ze zdumieniem na śmiałka, który odważył się zakłócić oficjalną wizytę i bezczelnie rzucił wyzwanie Chinom.

W rzeczywistości Tenzin Tsundue jest na pierwszy rzut oka jeszcze bardziej niepozorny, niż na zdjęciu. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Szczupły, niewysoki trzydziestolatek ma zawzięty wzrok i ton głosu, który nie znosi sprzeciwu. Gdyby urodził się w Europie, mógłby być zbuntowanym artystą. Ale urodził się w kraju, który nie jest jego ojczyzną.

– Jesteśmy gośćmi. Indie są piękne, wspaniałe, szanuję je.

Wychowałem się tu, gdy moi rodzice przyszli z Tybetu. Ale mieszkać tutaj to tak, jakby cały czas być tylko u kogoś z wizytą. Nawet jeśli dom, do którego poszedłeś jest piękny, to nie jest twój. A to boli – mówi Tenzin i odgarnia włosy, które zasłaniają czerwoną przepaskę na czoło. Nosi ją cały czas od kilku lat. – Nie zdejmę, dopóki Tybet nie będzie wolny.

– A jak nigdy nie będzie?

– Niemożliwe.

Tenzin urodził się w obozie dla uchodźców tybetańskich. Jego rodzice uciekli przez Himalaje w latach 50., po przegranym powstaniu niepodległościowym, przed represjami Chińczyków. Mieli na plecach cały dobytek. Przez góry przeszło wtedy około 80 tys. Tybetańczyków. Prowadził ich Dalajlama.

W ubiegłym roku, przed olimpiadą w Pekinie w odwrotnym kierunku ponad setkę najbardziej wytrwałych zabrał do domu Tenzin. Prowadził pokolenie dzieci uchodźców. Siedzieliśmy wtedy w czerwcową noc w dużym namiocie trzy kilometry przed Darculą: małą wioską na granicy z Nepalem, zagubioną w przedgórzu Himalajów. Obok spało kilkunastu Tybetańczyków, skulonych w śpiworach, a Tsundue opowiadał dlaczego walka jest tak ważna. To była ostatnia noc desperackiego marszu młodych Tybetańczyków do ojczyzny.

Marsz zorganizowali młodzi liderzy organizacji pozarządowych na uchodźstwie, w indyjskiej Dharamsali. Chcieli pokazać, że mimo olimpijskiej propagandy harmonii i sukcesu, problem Tybetu nie znikł. Byli zdeterminowani: rozdali wszystko, co mieli – bo byli przekonani, że nie wrócą już na wygnanie. I ruszyli.

Przez ponad trzy miesiące kilkuset Tybetańczyków przeszło 1300 kilometrów w upale i kurzu. Wielokrotnie aresztowała ich indyjska policja, Dalajlama dwukrotnie potępił marsz – mówił, że jest „awanturniczy”. Duchowy lider Tybetańczyków wierzy w Drogę Środka – negocjacje z Chinami, które dziś panują w

Tybecie. Ma nadzieję, że władze w Pekinie dadzą Tybetowi daleko posuniętą autonomię, pozwolą na zachowanie odrębności. Ale rozmowy przeciągają się od lat; i od lat nic z nich nie wynika.

– Oni zwodzą Dalajlamę, czekają na jego śmierć. Tybet musi być niepodległy, nie autonomiczny. Tymczasem Chińczycy oszukują cały świat, gdy mówią, że chcą z nami negocjować – wykladał wojowniczo Tsundue, i poprawiał okulary posklejane taśmą. – Dziś w Indiach jest około 100 tysięcy Tybetańczyków. Dorosło już pokolenie, które nigdy nie widziało Tybetu. Co się stanie, jeśli to pokolenie zapomni? To będzie klęska. Dlatego właśnie idziemy w marszu.

– Rodzina? Nie, dziś nie jest czas na dzieci. Ja mam Tybet. To jest dla mnie rodzina.

Tenzin ładował komórkę i laptop z przenośnego generatora, przeglądał notatki, studiował mapę. W namiocie wyglądał jak dowódca przed ostatecznym starciem: wiedział, że droga do Tybetu skończy się przed granicą Indii. Była noc, zaczynał deszcz i zimna górska mgła zaczynała oblepiać śpiących.

– My musimy walczyć tutaj, bo tam w Tybecie walczą codziennie. Zamykają naszych braci za posiadanie portretu Dalajlamy, za śpiewanie pieśni. Musimy mobilizować do nacisków na Chiny. Uświadomić, że ludzie którzy robią z nimi interesy, pośrednio dają pieniądze na okupację Tybetu. Więc jak robicie interesy – żądajcie respektowania praw człowieka. Trzeba to robić, ja wiem jak te prawa są łamane.

Tenzin był w Tybecie nielegalnie: w 1997 roku przedarł się bez dokumentów przez granicę indyjsko-chińską, złapała go straż graniczna. To była samobójcza wyprawa. Dwudziestolatek zgubił się, wiedział tylko że chce trafić do Tybetu. Trafił do więzienia i po trzech miesiącach przesłuchań Chińczycy deportowali go do Indii.

– Czy było warto? Żartujesz? Widziałem swój kraj. Byłem tam,

stąpałem po tej ziemi. Jakbym miał mapę, tobym ci chętnie pokazał... To, co że mnie bili, straszili śmiercią. Gdy mnie wyrzucili do Indii, wiedziałem już na pewno że Tybet należy do nas, i musi być niepodległy. Wszyscy to musimy zrozumieć, nawet Dalajlama.

Dzień później cały marsz Tybetańczyków policja indyjska wyłapała i zapakowała do więźniarek. Tenzin z towarzyszami zamiast walczyć z policją, usiedli w błocie górskiej drogi, i policjanci musieli ich odrywać od siebie siłą. Nikt nie zaatakował policji – bo buddystom nie wolno stosować przemocy, nawet w walce o dom.

* * *

Najbardziej wywrotowa, niebezpieczna i antychińska organizacja mieści się w północnych Indiach. Dokładnie: w Dharamsali, w kilku pokojach na piętrze starego domku. Dharamsala jest centrum wolnego Tybetu na wygnaniu. Tam jest siedziba rządu tybetańskiego na uchodźstwie, Dalajlamy. W sumie – kilkaset domów, które przycupnęły na zboczach gór, restauracje, hoteliki, klasztor. Nierówne ulice, turyści i mnisi.

Żeby trafić do antychińskiego centrum, wystarczy skręcić z centralnego placu wioski, przejść sto metrów, wejść po stromych schodach i pchnąć stare drzwi. Właśnie tam jest biuro Kongresu Młodzieży Tybetańskiej.

Na ścianach „najgroźniejszej” organizacji wiszą wycinki z indyjskiej prasy, na szafie stoi kilka odrapanych megafonów, w kącie – stare ksero. Na dużym stole aktywista prasuje stos tybetańskich flag.

– Właśnie tego boją się Chiny... Mówią, że jesteśmy organizacją wywrotową? Tylko pekińska propaganda mogła wymyślić coś takiego – mówi z uśmiechem Dondup Dorjee, wiceprzewodniczący Kongresu. Ale zaraz szybko poważnieje. – Mamy po prostu jasno sprecyzowane poglądy. Dziś Tybet jest zniewolony, a musi być niepodległy. Nie ma trzeciej drogi.

Dorjee ma niecałe 30 lat, jest wiceszefem Kongresu i jego sekretarzem ds. informacji. Kończył Uniwersytet Jawaharlala Nehru – prestiżową, rozpolitykowaną uczelnię w New Delhi. Do Kongresu wstąpił, bo chciał czegoś więcej, niż tylko zapewnień że w sprawie Tybetu można dogadać się z Chińczykami. Organizacja ma 25 tys. członków. Żąda wolnego Tybetu.

W okularkach i szczupły, ubrany w marynarkę, pod krawatem – Dondup wygląda bardziej jak urzędnik, niż bojownik o wolność. Gdyby urodził się w Nowym Jorku, albo Londynie, mógłby spokojnie być w awangardzie krytyków sztuki albo starałby się o awans w dużej korporacji. Ale urodził się jako uchodźca w Indiach.

– I to cię na zawsze naznacza. Moje pokolenie musiało sobie wymyślić swoją ojczyznę – mówi zdecydowanym głosem. Kongres jest niezależny, finansowany ze składek członkowskich. I głosi poglądy, które przyprawiają o ból głowy Dalajlamę. – Bardzo szanuję Jego Świątobliwość. Ale trudno mi pogodzić się z tym, że jeszcze w latach 80. mówił o niepodległości naszego kraju, a dziś tylko o Drodze Środka. On daje nam prawo wyboru. Nawet Budda mówił: nie idźcie ślepo za mną, tylko przyjdźcie świadomi. My chcemy być świadomi, nawet gdyby to oznaczało sprzeciwienie się Dalajlamie – mówi Dondup.

– Tybetańczycy nigdy nie byli rządzeni przez Chińczyków! – oburza się Dondup. – Nawet Dalajlama nie ma prawa zmieniać historii. Pomiędzy nami i Chińczykami nie ma żadnych punktów wspólnych! To są dwa światy: geograficznie, kulturowo, jeśli idzie o religię. Nie łączy nas nic. Nie ma żadnych podobieństw – wyjaśnia.

Kongres jest jedną z organizacji tybetańskich, która najaktywniej próbuje walczyć o niepodległość. Jego działacze organizowali akcję bojkotu olimpiady w Pekinie w ubiegłym roku, cały czas prowadzą w Dharamsali strajki głodowe, które mają zwrócić uwagę świata na Tybet. Chętnych nie brakuje, strajkuje się rotacyjnie, po kilkanaście dni. Ale takie

protesty nie przyciągają już uwagi.

– Jesteśmy buddystami, nie wolno nam przekroczyć pewnych granic. Metoda protestu bez przemocy jest podstawowa.

– Ale w ten sposób trudno chyba coś wywalczyć.

– Tak, to niełatwe. Możemy próbować, możemy posuwać się do ekstremalnych form protestu. I tak będzie się działo, bo ludzie są zdesperowani.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że poważnie myślą o strajku głodowym do śmierci. Mówią o samospaleniu. Nie mówią tego ot, tak – są poważni. To są ekstremalne formy protestu, skierowane przeciwko sobie. Ale jeśli trzeba, to i po nie sięgniemy. Cierpliwość moich znajomych tu, w Indiach, powoli się wyczerpuje. Oni pytają: kiedy w końcu zaczniemy coś robić? Kiedy będziemy działać, a nie tylko głodować? W nasz statut wpisane jest, że wszystkie środki, które prowadzą do wyzwolenia Tybetu, są dobre.

– Nawet przemoc?

– Przemoc nie jest dobra. Ale... wszystkie środki, tak jest napisane. Bez niepodległości nigdy nie będziemy szczęśliwi. Ludzie są na granicy wytrzymałości. W rozmowach słyszę, że w walce politycznej marksizm jest znacznie bardziej skuteczny niż buddyzm. „W moim przypadku, buddyzm po prostu nie działa. Kiedyś był sensem życia, ale od kiedy dowiedziałem się jak bestialsko zabili moją rodzinę, już nie jest” – powiedział mi przyjaciel. I dodał, że nie potrafi zabić kurczaka, ale z chęcią wykończyłby Chińczyka... Wielu z nich mówi o podziemiu w Tybecie, o walce zbrojnej. Studiujemy, jak działał serbski Otpor, mamy warsztaty, treningi.

– Dalajlalma to wszystko wyklucza.

– Wiem. Wszyscy to wiedzą. I mówią, że Dalajlalma jest jak wielki bananowiec: daje wspaniały cień, ale nie pozwala

rozwinąć się trawie, która z tego cienia korzysta. Nie czuję wobec Chińczyków nienawiści. Mam nadzieję, że się zmieniają. Ale boję się, że to nigdy nie nastąpi. Natomiast widzę, jak zmieniają się moi znajomi. I dziwi mnie polityka Chin. Przecież ignorując Dalajlamę, hoduja naprawdę wielką grupę, która jest gotowa na wszystko. Oczywiście, jest część która zasiedziała się w Indiach, mają karierę, dzieci...

– A ty?

– Najpierw walka, potem rodzina. Wiem, że jest wielu Tybetańczyków, którzy nie troszczą się o ojczyznę, i po prostu robią karierę. Nie złości mnie to. Raczej smuci.

CIAĞ DALSZY NASTĄPI

Autor: Maciej Kuźmicz

Źródło: [Świat Inaczej](#)